

J.M. ILVES

BORDER TOWN

W małym miasteczku na granicy
fińsko-rosyjskiej zło wcale nie jest
mniejsze niż w Helsinkach.

LALKARZ

MARGINESY

Sorjonen – Nukkekot

COPYRIGHT © J.M. Ilves, Fisher King Ltd & Gummerus Publishers,
2016

Published by agreement with Gummerus Publishers, Helsinki,
Finland, through Stilton Literary Agency, Finland.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Edyta Jurkiewicz-Rohrbacher
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2020

Prolog

Martwa dziewczynka leży w swoim łóżku, ubrana w pidżamę.

Tak ją ułożono. Włosy starannie uczesane, ręce skrzyżowane na piersi. W pokoju jest duszno i mrocznie, zasłony są zaciągnięte. Unosząca się w powietrzu woń nie pasuje do pokoju dziecka, coś pachnie słodkawo i ostro. Wszystkie moje zmysły krzyczą, bym wycofał się z pomieszczenia, ale to nie wchodzi w grę. Ucieczka oznaczałaby dla mnie koniec kariery zawodowej.

Podchodzę do łóżka i pochylam się. Zapach staje się mocniejszy. W tej samej chwili pierwsze symptomy dają o sobie znać, na to czekałem. Serce wali mi jak młot kowalski, zasycha w ustach, a ręce drżą. Jest coraz gorzej. Jeżeli mam szczęście, nikt akurat nie patrzy i ujdzie mi to płazem.

Przymykam na chwilę oczy.

W ciągu ostatnich miesięcy zacząłem myśleć, że zderzenie z najbrzydszą stroną ludzkiej natury jest jak ekspozycja na promieniowanie radioaktywne. Podczas służby dostałem już taką jego dawkę, że skutki zaczynają być

widoczne. Po każdym napromieniowaniu staję się trochę słabszy, wypruty z uczuć. Coraz częściej mam wrażenie, że poświęcam się na próżno. Świat zmierza w stronę pogłębiającej się z każdą chwilą ciemności, a moje działania nie mają na to żadnego wpływu.

Najgorsze, że poświęcam nie tylko siebie, ale i rodzinę.

Przełykam to i patrzę na dziewczynkę bez sentymentu, bez emocji. Pulsują we mnie szczegóły. Wnioski nasuują mi się same.

Oczy zaszyte kordonkiem, podobnie usta. Na bladej skórze odcinają się czarne ukośne szwy. Świetna robota, jakby maszyna. Właściwie nie widać krwi. Dlaczego? Może zszywane obszary znieczulono? To zapobiega krwotokom. Sprawca jest najwyraźniej psychopatą, ale posiada wiedzę medyczną. Pielęgniarka? Lekarz?

Patrzę na uszy dziewczynki. Zatkano je woskiem, w który wbito gwoździe. Widok jest zatrważający. Wszystko, co zrobiono temu dziecku, jest neurotycznie staranne, pedantyczne. W pewnym sensie jest w tym miłość – całkowicie pozbawiona sensu.

Teraz doznania atakują mnie z pełną siłą, mocniej niż kiedykolwiek. Muszę się o coś oprzeć. Czuję się nieswojo, jakbym miał spaść w bezdenną czernią. Muszę wstać. Paroma niepewnymi krokami podchodzę do wąskiego okna i otwieram je. Ktoś pyta, czy wszystko w porządku. Głos dochodzi z oddali, jakby spod powierzchni wody. Przytrzymuję się ramy okna i wciągam do płuc rześkie powietrze.

Tracę poczucie czasu. Może minęła minuta, może pięć. Powoli atak mija i wracam do rzeczywistości. Po pokoju kręcą się moi koledzy i mundurowi. Pytają mnie, czego szukać. Dom już przetrząsnęto. Każę wszystkim iść do diabła i mi nie przeszkadzać. Pomieszczenie szybko pustoszeje.

Sytuacja wygląda następująco: z ojcem dziewczynki już się skontaktowano, nie jest podejrzany. Jej matka natomiast zniknęła, to ona mogła być sprawcą. Nie wierzę w to ani przez chwilę, taki sposób myślenia to lenistwo. Nic w jej przeszłości ani w zachowaniu z ostatnich dni nie wskazuje na jej winę.

Ocieram z czoła zimny pot, podchodzę z powrotem do łóżka i obserwuję.

Na biurku stoi zdjęcie rodziców z córką. Matka ma brązowe włosy i niebieskie oczy, podobnie ojciec. Córka ma brązowe oczy i blond włosy. Adopcja? Nad łóżkiem wiszą rysunki. Do ich przyczepienia zużyto dużo taśmy i przylepiono je krzywo. To dziewczynka je powiesiła. Najnowszy rysunek jest przyklejony na wierzchu pozostałych, uśmiecha się na nim jakaś blondynka. Stoi w małym pokoju na końcu długich schodów. W pokoju jest okno i łóżko.

Po raz ostatni spoglądam na dziewczynkę. Nie widzi, nie słyszy, nie mówi. Olśnienie.

Idę do drzwi i rozkazuję mundurowemu udać się na strych. Słysząc skrzyp. Krzyczą, że na poddaszu jest pusto. Każę im szukać dalej. Coś tam musi być, wiem o tym. Klną, a potem zabierają się do przesuwania

mebli, opukiwania ścian i omiatania pomieszczenia latarkami.

Podczas gdy oni się męczą, jeszcze raz powtarzam fakty. Z każdą chwilą utwierdzam się w swoim przekonaniu.

To matka ją zabiła.

Nie ta ze zdjęcia, tylko ta biologiczna, blondynka. *Au pair*. Chciała być blisko niej, ale nie potrafiła zataić prawdy przed własnym dzieckiem. To niania jest matką. Ale córka nie może tego zdradzić. Matka jest nadal w budynku, nie mogła tak zostawić córki. Przecież kocha ją – na swój chory sposób – ponad wszystko inne.

Poświęciła własne dziecko.

Ta myśl zakorzenia się w moim umyśle i już się jej nie pozbędę.

W tej samej chwili z poddasza dobiegają głosy. Stukanie nagle ustaje. Za to głosy mówią z narastającym ożywieniem, na bocznym stryżku coś znaleziono. Kogoś. Coraz więcej mundurowych wdziera się na górę. Odgłosy aresztowania: bieg, szum, ostrzeżenia, mrożące krew w żyłach wycie kobiety.

Na koniec cisza.

Przy drzwiach na oddział trzeba się zatrzymać. Są jak brama do innego świata, w którym wszystko jest trudniejsze. Chodzenie, mówienie, oddychanie. Na wszystkim spoczywa ciężar. Przyciska do ziemi, niełatwo trzymać tu prosto głowę.

Na szybie wiszą znajome kartki: godziny wizyt, przypomnienie o obowiązku dezynfekcji rąk, ostrzeżenie o epidemii grypy żołądkowej. Poza tym ktoś przypiął kartkę z dwoma czerwonymi świątecznymi skrzatami.

*Zagięte rogi, ciemny kolor, na kartonie ślady po taśmie i niebieskiej naklejce. Wycięta na początku tej dekady. Tępy-
mi nożyczkami. Niejedno miejsce już widziała. Znalazła się nawet w pobliżu świecy – czapka jednego ze skrzatów
nosi ślady stearyny.*

Gram na czas, wstyd się przyznać.

– Cześć – mówi ktoś za plecami.

To znajoma pielęgniarka idzie na oddział. Otwiera drzwi i przytrzymuje je dla mnie.

– Dziękuję – odpowiadam. – Fajne skrzaty.

– Tutaj też nastają święta – śmieje się na odchodnym.

Kiwam głową i podstawiam ręce pod pompkę do dezynfekcji. Wcieram środek w dłonie i ruszam długim korytarzem, od którego odchodzą drzwi do sal pacjentów. Uderza mnie znajomy, zimny zapach klimatyzacji. Miesza się ze środkiem do czyszczenia i szpitalnym jęzieniem, lekami i linoleum. Za nimi, gdzieś w głębi jest jeszcze coś ludzkiego, co świadczy o tym, że za ponumerowanymi drzwiami znajdują się ludzie.

Z przeciwka idą dwie pielęgniarki w czerwonych czapkach. Staram się do nich uśmiechnąć, ale rezultat nie jest zbyt przekonujący. Docieram pod salę numer dwanaście, w której jest Pauliina.

Ostrożnie otwieram ciężkie drzwi i wchodzę do środka. W małym przedpokoju pompuję jeszcze na ręce trochę płynu do dezynfekcji, chociaż stary nawet nie zdążył wyschnąć. W pokoju panuje wieczny, zielonkawy mrok. Słońce nigdy tu nie dociera, żaluzje niemal całkiem blokują dostęp światłu dziennemu.

Spostrzegam Janinę. Siedzi na krześle w półśnie, owinięta w niebieską szpitalną płachtę.

– Nadal tu jesteś – dziwię się.

Janina otrząsa się, podnosi palec do ust i szepcze:

– Mama śpi.

– O kurczę – szepczę w odpowiedzi – sorry.

Pauliina porusza się i próbuje odkaszlnąć. Podchodzi do łóżka. Na policzkach czuję pełne wyrzutu spojrzenie Janiny.

– Jeszcze przez wiele dni będzie osłabiona – mówi. – To normalne. Rozmawiałam z pielęgniarką.

– To była skomplikowana operacja. Długa narkoza.

Patrzę na Pauliinę. Nadal ma spuchniętą twarz, ale zdecydowanie mniej niż w pierwszych dniach po operacji. Już nie wygląda tak obco. Jej głowę oplata ciasny opatrunek, a do wierzchu dłoni przyczepiona jest rurka. W tej chwili płynie przez nią tylko sól fizjologiczna, przerwa w lekach.

Pauliina otwiera oczy i patrzy na mnie.

– Cześć – chrypi. – Wpuścili cię.

Chciałbym ucisnąć jej dłoń, ale boję się dotknąć igły. Drugą rękę ma schowaną pod kołdrą. Po chwili zastanowienia ściskam łydkę oplecioną w przeciwwakryczepową szpitalną skarpetę. Potem odwracam się i mówię do Janiny:

– Może pójdziesz się przejść. Mogłabyś zejść do automatu po lemoniadę.

– Dla ciebie?

– Dla ciebie.

Janina nie chce, mówi, że przed chwilą wypita herbatę w kuchni. Zdradzam, że to tylko pretekst. Chciałbym przez chwilę pobyc z własną żoną sam na sam.

– Kiepski pretekst – wzdycha i wstaje z krzesła.

Zatrzymuje się przede mną i wyciąga do mnie rękę. Nie wiem, co ma znaczyć ten gest. Klaszczę w jej dłoń.

– Co to było?

– Piątka.

Janina kręci głową.

– Czasem się zastanawiam, jakim cudem jeszcze cię nie wywalili z tej kryminalnej. Przecież nie chciałam piątki, tylko pieniądze do automatu.

Wyciągam z kieszeni parę monet i daję jej.

Pauliina czeka, aż drzwi zamkną się za Janiną.

– Czy coś się stało? – pyta z troską.

Teraz muszę to powiedzieć, nadeszła właściwa chwila. Mówienie o tym jest jednak trudniejsze, niż przypuszczałem. Czuję, jak moje spojrzenie mętnieje, a zatroskanie na twarzy Pauliiny rośnie. Przyciągam do łóżka krzesło i siadam. Staram się mówić beztrzesko, ale w wylewających się ze mnie słowach jest gęsto od emocji.

– Czy Janina zgodziłaby się na przeprowadzkę z nami?

– Dokąd?

– Daleko.

Pauliina patrzy na mnie długo. Mrugam prędko oczami.

– Strasznie suche tu powietrze – mówię i próbuję się uśmiechnąć.

Pauliina chyba zaczyna coś rozumieć.

– To ty znalazłeś tę dziewczynkę.

To stwierdzenie, nie pytanie. Pauliina jest dobra, lepsza niż wielu moich kolegów.

Coraz uważniej mi się przygląda.

– Znów nie chcesz mówić. Mógłbyś więcej opowiedzieć o swojej pracy, dobrze by ci to zrobiło.

– Kiedy nie mam nic do powiedzenia.

– Nie martw się, wytrzyma – mówi Pauliina i wskazuje ręką na głowę. – Ty też mnie w tym wspierałeś.

Rozmowa zmierza w złą stronę. Próbuję skierować ją na właściwe tory.

– Znaleźliśmy sprawcę, zwykły dzień. To co z tą przeprowadzką?

– A co by miało być?

No to teraz. Zaczynam wymieniać powody. W głosie mam je jasno poukładane już od dłuższego czasu, ale kiedy wymieniam je Pauliinie, brzmi to niezgrabnie. Moje argumenty są niespójne, niepewne, chociaż nigdy nie czułem się o niczym bardziej przekonany.

– Nie chodzi tylko o twoją rekonwalescencję – tłumaczę się – tylko o nas wszystkich. O mnie, o Janinę, o ciebie, o naszą rodzinę. Mógłbym wam poświęcić więcej czasu. Gdzie indziej praca byłaby... No nie wiem, mniej szarpana. Spokojniejsza. Może.

Pauliina milczy, ale jej spojrzenie napędza mnie odwagą, jest w nim trochę ciepła. Zrozumienia.

– Myślałem o twoim dawnym domu rodzinnym – mówię. – Nie jest w takim złym stanie.

Dłoń Pauliiny łąduje na mojej. Orientuję się, że przez cały czas ściskam ramę łóżka, bardzo mocno. Luzuję chwyt.

W kącikach oczu ma łzy. Zdążyłem to zauważyć, zanim je otarła.

– Strasznie suche tu powietrze – odpowiada i uśmiecha się. Po raz pierwszy od dawna.